Wspomnienia

z

Berlina

I

z czasów Uniwersyteckich

1884

I.

17go Listopada 1884 o 6-ej rano wpadł do mego pokoiku w Berlinie Felix Jasieński. Jest to mój znajomy z lat dziecinnych, od niedawna w bliższych ze mną zostający stosunkach. Łączy nas wspólne zamiłowanie sztuki, którą pojmujemy zupełnie inaczej i na polu której rozumiemy się rzadko, ale ta sama miłość choć różne obiera sobie kierunki zbliża zawsze ludzi. Dwaj zakochani studenci rozumieją się wybornie, choć jeden marzy o modrych, drugi o czarnych oczach.

Felix zamierzał przepędzić parę tygodni w Berlinie, może parę miesięcy. Opętany przez szatana wagnerianizmu, który jest duchem jednostronności i pychy, postanowił zapoznać się w stolicy Niemiec z głównemi jego dziełami, które tu prawie nie schodzą z repertoiru. Obudziwszy mię tedy, oświadczył, że zamierza szukać mieszkania, w czem mu miałem być pomocny. Ciemno było w pokoju, ja leżałem jeszcze w łóżku, a on już wpadł na teorye boskiego Ryszarda. Aby rzecz skrócić, zerwałem się i w pół godziny wyszliśmy na miasto. Zwiedziliśmy kilkadziesiąt mieszkań, które nas nie mogły

zadowolnić, przypomniałem sobie dom, o którym mi często mawiał brat Feliksa w muzyce, Paderewski. Młody kompozytor zamieszkał przy niemieckiej rodzinie, która czasem decydowała się przyjąć obcego do swego grona, jeżeli zechciał wejść w jej zwyczaje i zastosować się do ~~jej~~ panującego w niej tonu. Paderewski był tym tonem, prostotą i inteligencyą zachwycony i ~~niemal~~ mi radził pójść za jego przykładem. Co do mnie wiedziałem, że są ładne panny w domu i kładłem jego egzaltacye na karb uczucia.

Spojrzawszy jednak na Jasieńskiego, jak blady, chudy, z zawiązanem okiem spacerował po mglistej ulicy Berlina, pomyślałem, że trzeba mu rodziny i opieki. Po francusku mówi jak Paryżanin, po niemiecku ledwo kilka słów złożyć potrafi: w rodzinie pp. R. jest język francuski w użyciu, co mnie zawsze dla niej wybornie usposabiało. Gdym Paderewskiego odwiedzał zastanawiały mię zawsze dwa sprzęty w mieszkaniu pp. R. Przechodząc przez stołowy pokój, oglądałem duży, stary, stojący zegar, bijący dzwięcznie godziny; w domu tym czystym, wytwornie czystym, pełnym śladów kobiecej ręki, prawie eleganckim, choć bardzo skromnym, znaczył ten zegar jakby jakąś przeszłość. Nie spodziewał się nikt,

że/w tem mieszkaniu zastanie taki starożytny, arystokratyczny mebel. Gdym zaś na mojego Paderini'ego – tak nazwaliśmy go w Krakowie – czekał w saloniku, pociągał moje oczy duży sztych przedstawiający Napoleona podczas rossyjskiej kampanii, grzejącego się u wiejskiego komina. Był to Napoleon uciekający i pobity, ale wielkoduszny, szlachetny i w nieszczęściu dumny. Dwóch grenadierów i kobieta z dzieckiem na ręku spoglądało na niego z współczuciem i miłością. To bardzo wiele na dom w Berlinie, w kilkanaście lat po Sedanie i oblężeniu Paryża. – Pianino, organy, parę zielonym aksamitem pokrytych mebli, fotel dębowy rzeźbiony, krzesło do hustania zapełniały nie duży salonik. Nad pianinem wisiały dwie duże fotografie; jedna przedstawiała trzy dziewczynki, trzy córki domu, obecnie już dorastające; druga ich ojca, zmarłego przed kilku laty. Dziwnie szlachetna fizyognomia, chociaż nie piękna. W dużych, szczerych oczach stało napisane: pereat mundus fiat iustitia, albo: ja mogę cierpieć, ale nie zawiodę nikogo; skonam a zrobię co do mnie należy. I dalej: wierzcie mi, bo niemasz we mnie zdrady i kogo kocham tego nie opuszczę.

Powtórzyłem Jasieńskiemu, co mi Paderini o domu tym opowiadał i oświadczyłem, że (o ile sądzę), mogę go tam zarekomendować, jako dobry młodego kompozytora znajomy. Felix się zapalił. Najwięcej go zapewne pociągała myśl, że skoro Paderewski z Warszawy powróci, zamieszkają pod jednym dachem, że się między nim a słynnym i pełnym talentu autorem „Tatrzańskiego Album" bliższa znajomość zawiąże.

– Powtarzam ci jednak, – rzekłem, – że są ładne panny w domu. Nie zakochajże się przypadkiem.

– Bawi mię romantyczny Koteczek. Bądź spokojny.

Przed 9-tą rano zadzwoniliśmy do mieszkania pani R. Wyszła do nas dama w białym czepeczku i niebieskim fartuszku, przeszło trzydziestoletnia ale zmęczona na twarzy. Para nie dużych, szaroniebieskich oczu oświecała ~~mu~~ żywo jej fizyognomię. Dowiedziałem się potem, że nie była to pani R. ale daleka jej krewna, która od śmierci jej męża objęła rząd interesów i domu i była całej rodziny opatrznością i opieką. Dzieci nazywały ją „Tante" i „Tante" była pierwszą instancyą przed matką. Prócz trzech panien R. chował się w domu młody ~~[illegible]~~, 16-letni siostrzeniec „Tante". Poznałem go był przed półrokiem u

Paderewskiego. Nazywał się Fritz. ~~[illegible]~~ Miał typ czysto germański, blond włosy, niebieskie oczy, słodki uśmiech, wesołe spojrzenie, szerokie barki i silną postawę. –

Ale wróćmy do rannej wizyty. Wprowadzony do salonu, zaprezentowałem Feliksa, i zauważyłem z przyjemnością, że „Tante" wymawia moje nazwisko wybornie, nie z niemiecka po cudacku, do czego jużem tu przywykł. Przyjęto naszą propozycyę odrazu, ubiliśmy zaraz interes i zakończyliśmy długą rozmową o Paderini'm, który tu żywe obudził sympatye i jaknajlepsze zostawił wspomnienie. Nazajutrz wprowadził się ~~[illegible]~~ Jasieński do pp. R. gdzie mu dano nie duży, wesoły pokoik. Postawił w nim pianino, zaczął łatać na „Parsifal'a" i „Lohengrin'a" i bardzo był kontent z Fortuny, z życia i ze świata. –

~~[illegible]~~ Bawiło go to bardzo, że kiedy cały dom zasiadł do kolacyi przed trzema pannami stały trzy butelki piwa. Nie musiały mu jednak zasłaniać widoku, bo zaraz nazajutrz jął opowiadać cuda o drugiej z rzędu, pannie Marcie. Wyglądała jak Graetchen, miała złote włosy z ~~[illegible]~~ gorącym odblaskiem, to co Francuzi zwą „blond vénitien"

oczy jak niezabudki i najładniejszą, najweselną, najdziecinniejszą minkę w świecie. W pół roku później, gdy jadąc ze znajomymi tramwajem, ukłoniłem się wchodzącej do wagonu pannie Marcie, zapytano mię: „Kto to jest? skąd ją pan zna? ależ to czysta Gretchen!" — Podczas jednego z tych licznych wieczorów, kiedy u pani R. czytywaliśmy Goethe'go i Heine'go, otworzyłem „Księgę pieśni" i po raz setny zacząłem czytać:

Du bist wie eine Blume
So hold und schön und rein;
Ich schau' dich an, und Wehmuth
Schleicht mir ins Herz hinein.

— To mi zawsze przypomina Martę — rzekła ciotka.
— Mnie nie — odparłem. W „Fauście" jest portret panny Marty:

Sie ist so sitt- und tugendreich
Und etwas schnippisch doch zugleich.

Słowa Heine'go trzeba zostawić dla najstarszej z siostrzenic Pani. —

Bywając coraz częściej u Feliksa, który przy mnie grywał i improwizował bez końca, poznałem powoli wszystkich członków rodziny. Panią R. spotykałem rzadko w długim szeregu pokojów, które musiałem

przejść, zanim stanąłem u drzwi Jasieńskiego. Na mój ukłon odpowiadała lekkiem skinieniem głowy, w którym leży pewien urok. Prześliczne niebieskie oczy i ładne linie twarzy świadczą, że musiała być piękną. Panna Marta podobna do niej, bardzo ładniutka, usprawiedliwiała reputacyę, którą jej robił Feliks. Utrzymywał on, że takiego drugiego noska niema na ziemi, noska, coby się tak dziecinnie i żywo poruszał za każdem słowem i ruchem. Po wesołym, psotnym, rozkosznie dźwięcznym śmiechu poznawałem już z daleka najmłodszą, pannę Toni, 14-letnią najwyżej dziewczynkę, uosobienie swobody i prostoty. Twarzyczka jej bez szczególnych piękności, oświecona jasnemi oczkami i śmiech jej bez fałszu i sztuki byłyby pogodziły ze światem Molierowskiego Odludka.

Upłynęło zaledwie dziesięć dni jak Feliksa zaprowadziłem do owego miłego domu na Thurmstrasse, a sam zasiadłem do stołu z całą rodziną. Gdy zmrok nastawać zaczynał kładłem się zwykle na sofie u Feliksa i przerywałem rozmowę muzyką. Raz nie mogłem się dosyć nacieszyć pierwszemi strofami „Astrów” Asnyka, w których jest cała piękność, cała samotna, tęschna poezya jesieni. Są dnie, w których

kilka znanych wierszy zyskuje nagle nową piękność i cały świat się naraz w nich odbija. Deklamowałem owe cudne strofy, które może dla tego tak lubię, że mi przypominają jedną jesień, pełną kolorów i myśli, złote kasztany w Krakowie, długie, urocze wieczory na woli Justowskiej. ~~…~~ Ciemno już było i wietrzno na dworze. Feliks zaczął improwizować pod wpływem poematu, słuchałem pilnie, rozumiałem każdy ton, słyszałem wicher unoszący liście, zdawało mi się, że odczuwam z nim boską roskosz tworzenia.

Takeśmy się ~~…~~ zamarzyli, ~~…~~ że wybiła piąta, godzina obiadu, a ja słuchałem jeszcze na ~~…~~ kanapie. Kartka adresowana do Feliksa a podpisana przez „Tante" pytała, czy nie zechcę zjeść „łyżki zupy? ~~…~~ ... Jasieński musiał oświadczyć, że toaleta moja nie pozwala mi właściwie ukazać się. Obiecano zamknąć na to oczy.

Wokoło lampy zasiedliśmy w siedmioro osób do stołu. Z talerzy krupniku podnosił się gorący, aromatyczny par. Jakaś wesołość, swoboda, jakaś atmosfera zadowolenia, dystynkcji i prostoty napełniała pokój... Czułem że z tymi ludźmi byłoby mi dobrze i ciepło: nareszcie spotykałem coś zbliżonego do owej niemieckiej „Gemüthlichkeit", o której marzyłem zawsze przed moim

pobytem w Berlinie. Zawiązała się ogólna rozmowa o muzyce, o najnowszych przedstawieniach w operze. Feliks wyciągnął na stół mój entuzyazm dla występującej naówczas na berlińskiej scenie uwielbianej w Warszawie Zymajerki, która się odtąd stała dla mnie powodem nieustannych prześladowań. Po obiedzie usiadł on do fortepianu, panny wzięły w rękę robótki. Zapytałem, dla czego najstarsza z domowych panien nie była na obiedzie. Odpowiedziano mi, że jada wcześniej, bo aż do wieczora trwa jej podwójne zajęcie: w Kunstgewerbe-Museum studyuje ornamentacyjny rysunek i miewa praktyczne i teoretyczne lekcye w seminaryum nauczycielskiem. Niebawem poznałem całą rodzinę, panna Renata wróciła bowiem o siódmej do domu i „Tante" schwyciła ją w lot, gdy szła do swego pokoju.

– Pan nie zna zapewne naszego najstarszego dziecka – rzekła mi. Pan Górski, „Unsere Nati."

Przypomniałem sobie wtedy, żem ją widział raz w ogrodzie z okna u Paderewskiego. Mogła mieć szesnaście lat; smukła, o pociągłej twarzy, rysach dość regularnych. Oczy duże, coś obojętnego, chłodnego w wyrazie ust. Grzeczna i zamknięta.

Wieczorem byliśmy z Feliksem na jakimś koncercie.

II.

Rzecz prosta, że skoro mię raz tak uprzejmie przypuszczono do familijnego kółka na Thurmstrasse postarałem się o to, aby w niem częściej módz zasiąść. W kilka dni po owym obiedzie, korzystając z pozwolenia przepędzania wieczorów, zastukałem koło 8-ej do drzwi. Rodzina była już w komplecie, naokoło lampy w salonie. Raz na tydzień czytywano rolami jaki dramat Szyllera. Tym razem leżał na stole Heine. Swędzą mię zawsze ręce, ile razy książkę na stole zobaczę, cóż dopiero, kiedy książka zawiera „Deutschland" lub „Buch der Lieder"... Otworzyłem ją, zacząłem przeglądać, czytać tu i owdzie strofę aż wreszcie mimo opozycyi Feliksa, który był na niemieckiem kazaniu, zapuściliśmy się na dobre w las wzniosłych i ironicznych ~~xxx~~ pieśni.... W kilka dni potem zeszła znowu rozmowa na Goethe'go. W domu pp. R. panował Szyller, jak w każdym niemal niemieckim domu. Goethe, arystokratyczny poeta na dworze małego księżątka, musi ustępować przed biednym pułkowym chirurgiem i biedniejszym jeszcze profesorem. Prosiłem o pozwolenie

przeczytania kilku pieśni i ballad autora „Tassa". Dla mnie Goethe był zawsze alfą i omegą poezyi. „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu", powiedział mi Herman Grimm, spotkawszy mię raz w ogrodzie z „Ifigenią" w kieszeni i zawiązawszy z nieznanym mu studentem rozmowę, „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, ale wszystkie od Goethe'go wychodzą." Od lat ośmiu jest stary ten mistrz całą moją estetyką i niemal etyką, doradcą, towarzyszem, przyjacielem. Ile poezyi w mem życiu, tyle jej wypiłem z Goethe'go. Ile spokoju w mym sądzie, tyle mię go Goethe nauczył. – A Goethe dla mnie to nie Werther, nie Götz, nie Wilhelm Meister, ~~to~~ ~~[illegible]~~ nie zawsze nawet Faust – to Ifigenia, Tasso, Rzymskie elegie, Ballady, Pieśni, Pory roku.... Unosi się z nich jakiś słoneczny blask i spokój, jakiś obraz idealny Niemiec. Szukałem go długo. Siedemnastoletnim chłopcem siadywałem w Marienbadzie w altanie pośród kwiatów i czytałem „das Blümlein Wunderschön" ciesząc się, że w ogrodzie starego naszego gospodarza domu patrzyły na mnie róże, gwoździki, fiołki, o których ~~[illegible]~~ się czyta w balladzie. Dziś otworzyłem ~~[illegible]~~ „Vier Jahreszeiten". Nie tylko o kwiatach, o duszach tam mowa. Są tam owe uwagi, owe złote rady, ~~[illegible]~~ najczystszy wytwór niemieckie-

go ducha, wielkości Niemiec przyczyna i podstawa. Kto może na chwilę zapomnieć o narodowej zazdrości i ufać, temu tą setka dystychów jest hymnem pełnym słodyczy. Czytałem ją wśród właściwego otoczenia jak niegdyś balladę o cudownym kwiatku, w domu, gdzie odnajdywałem ideały niemieckiej rodziny, w kółku ludzi, słuchających pilnie, pojmujących wybornie Goethe'go. Trzeba go tylko ~~pany~~ dopuścić do głosu po parlamentarnej frazeologii Szyllerowskiego Posy. Czytałem pieśń za pieśnią, dodając tu i owdzie biograficzną notatkę o ~~przyczynie~~ okolicznościach, wśród których powstała; od czasu do czasu podnosiłem oczy, aby przez moje błękitne okulary zlustrować audytoryum. Feliks uciekł na koncert, Fritz huśtał się na krześle, pani R. i panny robiły robótkę. Toni myślała o ptakach niebieskich, Marta o szydełku, panna Renata siedziała z oczami wlepionemi w robotę, ale te oczy wyglądały dziś inaczej. ~~ozy~~ Rozwarzyła się w nich tęczówka i źrenica, napełniał je blask spokojny i ciepły. Na jej bladej twarzy malowały się myśli, błękitne żyłki na skroni występowały silniej. Goethe jak słońce oświecał i ożywiał istoty; poezya tworzy czasem około głów kobiecych mgliste, złote aureole. Z tą swoją

twarzą bez rumieńca, słabowitą i smutną, z niemiecką swą talią, z dużemi rękoma, które pracowały gorączkowo i pilnie — była w tej chwili pociągającą i piękną. Z oczu i z lica biła u niej ta, co nie zawsze „jest w marmurowych kształtach — piękna dusza!" — Naprzeciwko mnie z głową opartą na ręku siedziała poczciwa ciotka, okiem i uśmiechem zachęcając mnie do dalszego czytania, ujęta tym cichym hołdem, który przybysz z daleka składał wielkiemu Goethemu.

Nie potrzeba mi było długiego czasu, aby sobie wyrobić kącik w tym domu, ani długich namysłów aby przylgnąć do owej ciotki, która była jego życiem i duszą. Stara panna bywa daleko idealniejszą istotą aniżeli się zdaje komedyopisarzom wyszydzającym jej manie, kwasy i przywary. A gdyby się znalazła stara panna nie obraźliwa i nie sentymentalna, o szerokich poglądach, łatwem, miłem, taktownem obejściu, oddana drugim, zapominająca o sobie, rozumna i mądra, sprytna i wesoła? Trzebaby ją szanować i lubić, wysoko cenić, może kochać.

Panna Marya L. , którą i ja niebawem zacząłem nazywać „Tante" prowadziła gospodarstwo w tym

domu jeszcze za życia pana R. , w którym uwielbiała energią i duszę jak łza czystą. Na łożu śmierci wymógł od niej obietnicę, że dzieci jego nie opuści, dopóki los ich zapewnionym nie będzie. Pani R. osoba najlepsza w świecie i obdarzona prostym zdrowym sądem nie posiada żadnej energii, jest bierną i cichą naturą. Całe wypożyczalnie powieści przechodzą przez jej ręce, haftuje i szyje, ale rząd domu i wychowanie dzieci wypuściła z dłoni. Panna L. jest im i ojcem i matką. Powoli przylgnęły serca dzieci do opiekuńczej ciotki raczej niż do matki. Pani R. cierpi nad tem, robi im i sobie wyrzuty, ale wraca potem do czytania i do haftu.

Młodą panienką przepędziła panna L. parę lat we Francyi, jak to w niemieckich mieszczańskich rodzinach bywało i bywa jeszcze we zwyczaju. Pobyt ten wzbogacił jej umysł w odcienia, które zwykle tylko w uczuciu miewają Niemki. Nadało jej to szerokość w poglądach, jasność sądu. Należy ona niewątpliwie do niepospolitych kobiet, nie można jej mierzyć zwykłą, przeciętną miarą. Gdy do niej wysoką, osobliwą przyłożymy, okaże się może, iż brak jej nieco mistycyzmu, że może się jej tylko zdaje, że rozumie entuzyazm,

poświęcenie i zapał, że pieśń Heinego o kwiecie lotusu, zakochanym w miesiącu, nie jest dla niej, że pojmie raczej co Heine mówi o miłości świerka i palmy, że są struny w jej duszy, które nie od-dźwięknę, kiedy kto jej mówić pocznie „o Bogu wielkim i jasnych aniołach." Ależ bo jest Niemką i żądać tego od niej, byłoby sądzić ludzi z polskiego stanowiska. Inne ludy nie opłaciły tysiącem ofiar i generacyjami poległych swego serca zdolnego wszystkich uczuć i zapałów. W Niemczech od lat trzystu pięćdziesięciu zasusza serca najwyższa na ziemi nauka, protestantyzm, noszący nazwę religii, jakgdyby co wiązał i jednoczył. — Za to jest moja przyjaciółka osobą czynną, użyteczną, kobietą odważnie i prosto idącą jak mężczyzna, rozumiejącą wszystkie ludzkie uczucia i pełną dla nich serca, zapominającą o sobie dla drugich i siejącą szczęście na ziemi. Spokój, dostatek, porządek, intelektualne wyrobienie, takt i delikatne uczucie wszystko to wniosła w dom, względem którego niema żadnych obowiązków. I ponad wszystkiem rozlała się u niej swoboda i wesołość, jakby jej życie nigdy nie zadało ciosów. Jak wszystkie kochała kiedyś — kogo?

nie wiem — i nie mogąc jemu, nikomu nie oddała ręki. Dowiedziałem się o tem bardzo późno, domyślałem się oddawna. Znać było zawsze, że jest w tej czynnej duszy jakiś skarb ukryty, jakiś tajemniczy urok przeszłości i pamiątek.

Pozyskałem prędko jej zaufanie, a raczej kupiłem je otwartością moją. Powoli wtajemniczony zostałem w przeszłość i stosunki rodziny, poznałem krewnych i znajomych domu. Nawzajem słuchała panna L. bardzo chętnie o moich studyach i zamiarach, pragnieniach i kolejach, o wszystkich dobrych ludziach, których napotkałem w życiu. Pamiętniki moje, jeżeli je kiedy napiszę, podzielę na rozdziały, którym za tytuł służyć będzie zawsze nazwisko szlachetnego człowieka. Będzie w nich mowa o ludziach, którzy mię przygarnęli do siebie i otworzyli serce albo o duszach szlachetnych, w głąb których danem mi było zajrzeć. W tem znaczeniu wyrazu — ~~co~~ co tutaj piszę to także pamiętniki.

Co dla mnie musiało dobrze usposabiać pannę L, to zainteresowanie się jej siostrzeńcem, Fritz'em. Chłopiec ma otwartą głowę, serce do poruszenia łatwe, ogromną ~~wyobraźnię~~ wyobraźnię, więcej zapału niż wytrwałości. Babka jego była Polką: jest w nim coś polskiej fantazyi i żywości uczuć. Urodzony w Rumunii,

zawdzięcza znów południowemu klimatowi pewną opieszałość w pracy. Fantazyą cały świat przeleci i nie potrzebuje już pieszo po ziemi wędrować. Ale główny rys jego charakteru nie jest ani niemiecki, ani południowy ani polski: jest właściwy całemu XIX mu wiekowi. Zdaje mi się, że Rousseau jest jego ojcem. Uczucie tak wysoko postawić, że ono ma głos rozstrzygający nad obowiązkiem, honorem, surowym głosem sumienia i wszystko powoływać przed ten trybunał przekupny, ostatecznie prawie zawsze samolubny, umyślnie czy nieumyślnie ślepy, okłamujący i drugich i siebie i dający zawsze w końcu absolucyą — to jest chorobą naszą wspólną, w protestanckim kraju niebezpieczniejszą i częstszą niż gdzieindziej.

Zrywam z Fritza szaty i odsłaniam chorą część organizmu, którą z czasem dopiero poznałem. Nie mogę przemilczeć setnych dobrych stron, które mię uderzyły odrazu i które mię po dziśdzień pociągają ku niemu. Otwartość, miłość prawdy, ogromny zasób szlachetnych uczuć, któreby tylko wyrobić, wzmocnić, w praktycznym kierunku rozwinąć należało, chwilami zadziwiającą delikatność i ogromna intelektualna finezya, umysł pojętny, spostrzegawczy — wszystko to materyały na niepospolitego człowieka. Gdyby nie ta nowożytna

skłonność i teorya!

Jak wszyscy ludzie żywej wyobraźni interesował się Fritz do sztuki, której nie znał, lecz która go magnetycznie pociągała. Prosił mię, abym go czasem zaprowadził do muzeum. Przyrzekłem chętnie, ale chcąc rzecz zrobić systematycznie i wytłomaczyć ~~~~ memu uczniowi, czego ma szukać w posągu i w obrazie, zacząłem z nim naprzód czytać „la Philosophie de l'art" Taine'a. Jestto książka brutalna, ale często prawdziwa, więcej niż zwykłe estetyki wychodząca z obserwacyi, ze znajomości artysty. Jest w niej atmosfera pracowni raczej niż wykładowej sali, dla tego postanowiłem ją zaaplikować niemieckiej naturze. Byłem pewny, że skoro ją przeczyta i przetrawi, będzie Fritz raz na zawsze wolny od artystycznego marzycielstwa, sentymentalizmu w rzeźbie i malarstwie, frazeologii docentów, co wszystko razem przydusza w Niemczech sztukę. Wieczorami przychodziłem do pp. R. z Taine'm pod pachą, zasiadałem z Fritzem w pokoju Feliksa, który czasem przysłuchiwał się lekturze i zaczynałem dokładną interpretacyą tekstu, popartą przykładami z historyi sztuki. Fritz rozumiał wybornie, interesował się, pytał, pamiętał każde słowo. Prawdziwą to była przyjemność z nim rozprawiać.

Jednego wieczora, kiedy pani R. i panny L. w domu nie było i Jasieński siedział w operze, nie szło nam wcale czytanie. Zaczynaliśmy, schodziliśmy na inny przedmiot, studyowaliśmy parę zdań w Tainie i znowu nas rozmowa unosiła daleko. Mała lampka na stole paliła się jasno, ciepło, wesoło. Jest w sztuce tyle niebiańskich pierwiastków, że nieraz kto od rozmów o Lionardzie zaczął, skończył patrząc w oczy zagadkowe jakiej Mona Lisy; ~~...~~ dwoje ludzi, gdy ~~...~~ zaczną wchodzić w odcienia i tajemnice arcydzieła, mogą zbytratwo przeskoczyć do odcieni i tajemnic serca. Ale dopóki z kim nie rozmawiałem o sztuce, nie znam go wcale, nie wiem, ile w nim jest prawdy i natury. Są ludzie, którzy~~by~~ nie dowiedzieliby się nigdy, co jest miłość, gdyby o niej nie byli słyszeli, powiedział La Rochefoucauld. Było to w epoce, kiedy galanterya i miłostki zabijały uczucie. Dziś gdy wszyscy się interesują sztuką, i wszyscy biegają na wystawy obrazów i sądzą drzeworyty ilustrowanych tygodników, dziś znowu mania zabija uczucie. Ale nie (trzeba) długich dysput, aby ten szych rozpoznać od złota, ani długich nauk, aby poczucie wrodzone obudzić i rozwinąć. Gdzie ono jest, w młodej duszy, tam ~~jest~~ całe skarby można będzie odkryć. „Wo du bist ist Lieb' und Güte, wo du bist - Natur.

Od filozofii sztuki krok do psychologii zastosowanej. Po tej pochyłości zeszliśmy powoli od natury artysty do natury znajomych nam ludzi. Fritz był w usposobieniu do zwierzeń i mówił o sobie, o swoim przyjacielu, o wszystkich domowych. Potrzebował przyjaźni, szczerości, przychylnego ucha, powiernika. Henryk von H., ~~[illegible]~~ szkolny jego kolega, obecnie uczeń politechniki nie odpowiadał wszystkim tym wymaganiom. Sprytny, bystry, przytomny, nieraz złośliwy, łączył szlachetną, rycerską naturę z kompletną obojętnością religijną, prawie ze sceptycyzmem. Pomimo młodego wieku, nie sądzę, aby to było u niego komedyą. Sceptycyzm jest i będzie coraz bardziej wrodzonem usposobieniem protestanckich Niemiec. – Otóż między wierzącym a niewierzącym nie może być zupełnej przyjaźni. Cyceron nazwał ją raz ~~[illegible]~~ „rerum divinarum humanarumque consensus." Ciotka zaś traktowała ~~go~~ Fritza jak dziecko. Praktyczna jej natura nie mogła się wdawać w rozplątywanie uczuć zawiłych, mglistych siedemnastoletniego chłopca. Kuzyn panien R., Hans R., dobry towarzysz, przywiązany do niego, zanadto mu był obcy usposobieniem. Pilny, spokojny, prawie pedantyczny, śmieszny w swojej bezgranicznej powa-

dze, był mu zresztą za młody na przyjaciela. Jedyną istotą, która go rozumiała i chciała rozumieć była panna Nati. Obojętna na pozór i głęboka miała ten rodzaj uczucia, co nie może marnować się w słowach. Znała go przytem wybornie, danem jej bowiem było odgadnąć wszystko sercem. W obejściu z nim jednostajna, spokojna, miła, nie robiła mu nigdy wyrzutów i nie dawała rad, ale jedno jej spojrzenie, każda drobnostka w jej postępowaniu wskazywała mu, że inaczej powinien był postąpić. Chłopiec miał dla niej cześć bez granic i wszystko gotów był zrobić na skinienie tej milczącej dziewczyny.

Wiesz – rzekłem mu – Twoja kuzynka to dziwna osoba. Od czasu, co bywam w waszym domu, zżyłem się mniej więcej z wszystkimi. Tylko dla niej jestem zawsze obcy.

– Bo też nie łatwo pozyskać jej zaufanie – odparł – ale kto je posiędzie, względem tego nie będzie miała tajemnic. Ona nie mówi prawie wcale, ale sądzi.

– Tego się też boję. Wiesz jak się nieraz zagalopujemy w żartach z Jasieńskim. Lękam się, że ją coś nieraz dotknie i urazi. – Nieprawdaż, ona musi być uosobieniem obowiązku, pewno jest bardzo wykształcona, dużo umie?

— Nie; uczucie gra u niej pierwszą rolę. Ale takiego taktu, takiej szlachetności, takiej głębokości uczuć nie znajdziesz. W seminaryum jest zapracowana, bo przełożeni widząc jej delikatne obejście ~~[illegible]~~ powierzają jej najważniejsze czynności.

Rzeczywiście przypominałem sobie, że zupełnie inaczej wyglądała w powszedni dzień wieczorem, inaczej, kiedy czasem w niedzielę widziałem ją u stołu. Ze seminaryum wracała z dużym parasolem, z teką w ręku i po chwili zasiadała do kolacyi; blada, strudzona, poważna. Znać było, że dusza niszczy wątłe ciało. Oczy były blade, albo gorączkowo ogniste. Żyły jak błękitne sznury występowały na skroni. Patrząc na nią miałem uczucie, że jestem zbyteczny w tym domu. Gdyby mnie tu nie było, usiadłaby koło ciotki jak młodne siostry i ciotka by ją zaczęła głaskać i pieścić jak tamte. Ale dziś wiem, żem się mylił. Zbyteczny może byłem, ~~a~~lecz ona nie chciała pieszczot, nie lubiła tych oznak. Praca bezustanna, ranne wstawanie nadwątliły jej nerwy; objawiło się to bólem w prawem oku, chwilami bardzo silnym. Nikt nie słyszał z jej ust jednej skargi. Czasem schwyciła się nagle za oko, był to dowód, że ból się staje nieznośny; czasem bywało ~~[illegible]~~

to oko malcińkiem i ingliotem: ból je opanowywał. Tylko kiedy w szkole rysunku szkicowała palmety lub komponowała woluty z akantu, wtedy – mówiła mi to potem sama – zapominała o każdem cierpieniu.

Przeciwnie w niedzielę, po wypoczynku, była za każdym razem odmłodniała, świeża, piękniejsza. W tej twarzy, w tej piękności była dusza wszystkiem. Rysy się zdawały delikatniejsze, oczy żywsze, rumieniec występował na lice, usta rozwijały się, barwiły jak róża. Inne tchnienie ożywiało postać całą. Chodziła lekko, uśmiechała się tak łatwo, sfinx ustępował miejsca kobiecie. A jednak w oczach, w wyrazie, w spojrzeniu była zawsze jakaś głębia. Mówią tyle o niezbadanej naturze kobiety; może to i prawda. U niej tą wiecznie pociągającą głębią była nie zapowiedź szczęścia, ale dusza.

Kiedym ja tak myślał, Fritz mówił dalej o niej, o sobie, o Henryku von H. – Jużeśmy tego wieczora nie powracali do Teine'a.

Zima roku 1884/5 zostawiła mi najlepsze wspomnienia. Pracowałem dość dużo, o ile mi oczy pozwalały, widywałem dużo kilku bliżej mi znajomych polskich posłów do niemieckiego parlamentu. Prócz poczciwego Lutka Mycielskiego debiutował naówczas w Reichstagu Józef Kościelski, człowiek, którego kto zechce niech określić spróbuje, ale w każdym razie bardzo miły i inteligentny towarzysz. Ranki w parlamencie przegradzały wykłady, po wesołych obiadach z posłami następowały miłe jeszcze u pani R., wieczorem oglądałem po raz dziesiąty i piętnasty Zymajerkę w „Gillette de Narbonne", odbywałem z Feliksem wędrówki pokoncertowe po restauracyach, gdzie można dostać wędzonej morskiej ryby, albo, i to najczęściej bo najbliżej, siedziałem do północy blisko na Thurmstrasse. Gdym wychodził, nie kursował już zazwyczaj tramwaj i musiałem po deszczu iść do mego dalekiego domu. Ale mi tego nigdy żal nie było. Naczytaliśmy się Teine'a, nadysputowali z Feliksem, potem on usiadł do fortepianu,

ja sięgnąłem po Goethe'go. Nowa twarz przybyła do koła znajomych. U Pani R. zamieszkała Szwedka, panna Anna M.–, chciała brać w Berlinie lekcye śpiewu, miała rzeczywiście czysty, piękny sopran, nadający się przepysznie do poważnej, klasycznej muzyki. Całymi wieczorami dawała nam koncert na współkę z Jasieńskim, a potem przychodził do głosu Goethe. Świat się rozszerzał, tysiące myśli, uczuć, drgnień napełniało ten mały salonik. Pani Grimm miała racyę mówiąc: die Poesie ist eine höhere Musik.

Życia mojem ówczesnem liczyłem wtedy jeszcze na wykłady Hermana Grimma i na poniedziałkowe wieczory w jego domu. Każda godzina, którą przepędziłem z tym osobliwszym człowiekiem, utkwiła mi w pamięci. Nieraz jedno słowo zmuszało mię do długiego myślenia, stawało się podstawą do całego systemu, a stary mędrzec wyrzucał takie słowa i zdania, jak rozrzutny monarcha złote sztuki; każde ze stęplem jego własnym, każde ze szczerego, z własnego metalu. – Kiedy zaś znów przyszedł poniedziałek i kilkanaście osób zgromadziło się w salonie profesora, co za ciekawa, miła

pełna prostoty galerya. Tacy uczeni jak Crowe, poeci jak Voss i pamna Kirschner (Ossip Schubin), takie cudowne kobiety jak pani von Heiking — Ninon, quand vous riez, vous savez qu'une abeille — pianiści jak Stavenhagen, oto kółko, które się widywało u Grimmów. Portret Maksymiliany Brentano, ~~przyjaciółki~~ babki pani domu; przypowieść biblijna Domenica Feti, ulubiony obraz Goethe'go; prześliczny Böcklin wisiały w salonie. Muzyka przeplatała rozmowę, którą jak biegły dyrektor orkiestry, sam wirtuoz znakomity, prowadziła, przerywała, nawiązywała znowu z genialną werwą pani Grimm.

Na Boże Narodzenie pojechałem do domu, gdzie mi do szczęścia nie brakło mego ciotecznego brata Weyssenhoff'a. W Warszawie ujrzałem znowu po długiem nie widzeniu jedną z tych kobiet uroczych i pięknych, które światu całemu zawracają głowę. Ta była mi przed kilku laty oddała tę usługę: myślałem długo o jej ~~[illegible]~~ albumie, o jej francuskim akcencie, o jej bucikach do konnej jazdy. — „Vous voilà donc" zawołała mi, kiedym drzwi otworzył „vous, qui êtes le fond de mon coeur!" Spojrzałem na nię, zanim ~~(~~na ironiczną

odpowiedź mogłem zdobyć. Nie zmieniła się: zawsze te same oczy, ta sama talia, te same ruchy, dzięki którym zdawała się sunąć, latać, płynąć. Po dziesięciu minutach ujrzałem, że nie zmieniła się nic a nic i duchowo, ale po kwadransie pragnąłbym był zmiany. Przepędziłem z nią dwa wieczory, na trzeci dzień rano pobiegłem do Weyssenhoff'a. „Ta kobieta jest jedną z ~~[illegible]~~ przykrych deziluzyj mego życia. (rzekłem mu.) Czy* ona się zmieniła, czy mnie już piękność sama nie wystarcza?"

Tak było, chociaż sobie z tego nie zdawałem sprawy. Zapominałem, że w jednym niemieckim domu, na trzeciem piętrze, czytałem głośno Goethe'go, a oczy obecnych świeciły ~~[illegible]~~ uczuciem, myślą, duszą. Zgubną jest rzeczą przyzwyczajać się do duszy, kiedy się ma potem rozmawiać z najlepszemi tancerkami warszawskiego high-life. Nie wiedziałem wtedy, czego mi brakowało w tej ślicznej kobiecie o malutkiej białej rączce, którą tak konia prowadzi, którą z takiem życiem grywa polki Fahrbach'a. Nie myślałem jeszcze o żadnej parze dziwnie świecących ~~[illegible]~~ oczu, ale już mi inne gasły

Powróciłem do Berlina rozmarzony i zacząłem dawne życie na nowo. Zmuszony wrócić raz jeszcze do kraju, byłem po tygodniu znowu nad Sprewą. Chodziłem z Fritzem do muzeum, z Feliksem na koncerta, pracowałem mniej i nie wiedziałem, czego szukam. Kładłem wszystko na karb powietrza.

18go lutego 1885. wyjechał Jasieński do Paryża. Przykro mi było się z nim rozstawać; traciłem wybornego towarzysza, wesołego, dobrego chłopca o daleko wytworniejszej naturze niż ludzie sądzą, traciłem świadka tego wszystkiego, co się tam działo na Thurmstrasse, człowieka, który znał całą rodzinę, oceniał „Tante", rozumiał to niemieckie „intérieur". Aby coś dobrego, pięknego zrozumieć trzeba daleko więcej wyrobienia i głębokości aniżeli zwykle myślimy. Krytyka będzie zawsze imponować, a krytyka rzadko zagłębić się raczy. Aby wejść w cudzą duszę, czy to osoby czy instytucyi, trzeba mieć duszę samemu. Niech żyją ludzie, umiejący oceniać i podziwiać. Na „nil admirari" Horacego odpowiedział ostro Goethe: „Schlagt ihn todt den Hund! Es ist ein Recensent!"

× ×

×

XV

~~Był niedzielny wiecz~~ Był niedzielny wieczór i purpurowe latarnia zakołysała się wolno nad gankiem domu Trochów– Pana Zandra

Wizyty moje na Thurmstrasse nie ustały wcale po wyjeździe Feliksa. Już nie tylko jako jego znajomy zajmowałem ~~miejsce~~ kącik w zielonym saloniku. Było między pp. R. a mną bardzo dużo Goethe'go, zwierzeń, dobrych chwil, wesołości, muzyki. W dzień wyjazdu Jasieńskiego rzuciłem po za siebie okiem, na tę całą przeszłość moją w cichym, szlachetnym domu i napisałem do panny L. list z podziękowaniem za wszystko dobre, doznane w jej rodzinie. Obcy, nieznany, mówiący z trudnością miejscowym językiem, pełny wspomnień wiążących się z dalekimi ludźmi i rzeczami, Polak wiecznie rozrywający swoją narodową pieśnią spokojny sen bez marzeń innych ludów – usiadłem przy tem domowem ognisku i nie zaznałem nic prócz ciepła i przyjaźni. Przyjęto mię za swego, uczono mię swej ~~[illegible]~~ mowy ~~się z [illegible]~~, uszanowano moje pamiątki i marzenia, zrozumiano, podzielono prawie moje narodowe uczucia.... Kto zrobi więcej, kto to zrobi? gdzie są tacy ludzie i takie serca? — w Niemczech!

Wyjazd Feliksa ułatwiał czytanie niemieckich poetów. W kółku powszechnem przeczytaliśmy „Ifigenię"

rolami, dwom starszym damom czytałem pierwszą część „Fausta". Nadto zaglądałem jeszcze nieustannie do ballad i pieśni Goethe'go. Coraz częściej, coraz silniej czułem gdzieś w głębi duszy, ~~że [illegible] [illegible] [illegible] mi po [illegible]~~ że się coś we mnie rozwija i rozkwita na słowa poety:

..... welch Glück geliebt zu werden!
Und lieben, Götter, welch ein Glück!

Kiedy mi raz „Tante" powiedziała, że moja krucyata w obronie Goethego nie pozostawała bez skutku na „Thurmstrasse" ogarnęła mię wielka radość. Oto rano, przed szkołą zastawała pannę Nati odczytującą pieśni, nad którymiśmy poprzedniego dnia siedzieli wokoło lampy w salonie. Napisałem o tem do Jasieńskiego. Co za rozkosz! Przychodzi cudzoziemiec, wychowany, wypiastowany na Goethem i przyjęty do niemieckiego familijnego koła nie wie jak się za tę serdeczną gościnność odwdzięczyć. Między członkami tej rodziny jest dziecko, które zaczyna stawać się kobietą; do tego szlachetnego stworzenia ciągnie go wszystko magnetyczną siłą i radby przedewszystkiem jemu się odpłacić. A że niema podobno uczuć bez odrobiny egoizmu, w pamięci tego dziewczęcia chciałby

przedewszystkiem pozostać. Niech kiedy się rozstanę na zawsze, niech ona w obrazie lat swoich młodych i jasnych wyznaczy miejsce i temu przychodniowi, który ją szanować i ocenić umiał. Niech Polak dobre zostawi wspomnienie wśród tej niemieckiej rodziny, w swej duszy, czystszej, prostszej, podnioślejszej nad inne. Zapowiedź tego wspomnienia wyczytałem zaraz ze słów „Tante." Kiedy w przyszłości smutek lub mglista owionie ją tęsknota będzie mogła ta, którą radbym nazwać moją przyjaciółką, będzie mogła jak ja tyle razy otworzyć swego Goethego, którego cenić i rozumieć ja ją niegdyś uczyłem. Zapłata moja nie byłaby znikomą.

Tymczasem i dla mnie nastawała pora wyjazdu. W pierwszych dniach marca kończyły się wykłady i czekał na mnie pobór do wojska w Krakowie oraz plotki, rauty, nudy jagiellońskiego grodu. Wybierałem się też powoli, odkładałem wyjazd z dnia na dzień, tembardziej, że na letnie półrocze miałem jechać do Bonn albo Heidelberga. Wstrzymywał mię to wieczór u pp. Grimm, to obiad u pp. Kościelskich, wstrzymywały

mię zwłaszcza ciraz to miłe chwile na Thurm-strasse. Panna M. zaśpiewała nam raz aryę z „Rinaldo" Haendla „Armida dispietata" i nie mogła się odtąd obronić ~~[illegible]~~ od natarczywych naszych próśb, aby ją powtórzyć. Szwedzka nasza przyjaciółka pozostanie mi chyba zawsze w pamięci przy fortepianie, z dużemi, wzbudzającemi jakąś ufność oczyma, z nutami owej aryi przed sobą.

Brillouin I

30 pa[illegible]

Wspomnienia
z
~~KKR~~
Berlina
z czasów Uniwersyteckich
1885

1885

23-go wyjechawszy z Woli stangtem nazajutrz rano w Berlinie. Zanim hotel otwarto posiedziałem za „Brandenburger Thor” ku alei, gdziem się przed półtora miesiącem pożegnał z panną Nati. Było pusto, mglisto; czerwony blask wschodu padał na lekkie chmurki, pożółkły, jesienny Thiergarten i złotą boginię zwycięstwa.

Przed ósmą na Karlstrasse spotykam pannę Martę i Toni. Wszystko dobrze na Thurmstrasse: panna Nati nie wyjeżdża jeszcze, pani B. wróciła, zamieszkała chwilowo w domu znana mi z dawnych opowiadań pna Heidenreich, malarka i koncertantka.

Po 9-ej jestem na Thurmstrasse. Pani Rohde. Po chwili przybywa „Tante” i pna Heidenreich: miła i swobodna. Panna Nati wchodzi blada, biało i mówi podając rękę: „Da ist die geisteskranke Nati,” wie Tante sagt.” Chwila ponurego milczenia.—

Grimm jeszcze nie przyjechał. O 4-ej na obiedzie u pp. Rohde.

Na kolei. Ludwik nie przyjeżdża

25. U Tola. Szukam mieszkania. — Obiad u pp. Rohde. ~~Pna~~ Pna Heidenreich wymowna. Po obiedzie przynosi mi pna Nati poezye Emanuela Geibla. Kilka poezyi założonych wstążeczką, np. „Wie es geht" — Wieje z tych wierszy dziwny smutek, który mię naraz wyrwał z równowagi i sztucznego spokoju. Mówią o miłości, straconej i upadłej, o rozłączeniu, powolnem zamieraniu ideału i duszy. Nie przypadkiem pokazała mi szlachetna ta kobieta owe założone wiersze. Gdyśmy chwilkę zostali sami, spojrzałem na nią z poza książki; ręka jej drżała. Widziała dobrze, że czytam i odczytuję zaznaczone poezye. „Das sind die Lieblingsstücke von Tante Anna" rzekła. — „Ich habe sie gelesen." — Szukałem wśród Geibla odpowiedzi na ~~jej~~ te wiersze ale jednego, zatytułowanego „An eine Ungenannte" założyć nie chciałem i zostawiłem wstążeczkę na skardze, wyrażonej z Geibla całą głęboką siłą. — Poszedłem do Tola.

26. Nie byłem u pp. R. — Wieczorem przyjeżdża Ludwik z Władziem.

27. Szukamy mieszkania. Po obiedzie prowadzę Ludwika do pp. R. — Przyjmują go b. dobrze. Znajduje, że pna

Nati bardzo rada. Może. Ale nie mógł dziś jeszcze widzieć w jej oczach ~~...~~ duny, która jest piękniejsza od ~~tych~~ tych oczu. – Zdawała się swobodna. Było wesoło.
– Wieczorem z Ludwikiem i Władziem na „Orpheus in der Unterwelt" Offenbacha. Rzecz straciła „pointę". Zanadtośmy dużo rzeczy sparodyowali, aby nas parodya Olimpu zajmowała. Zadalekośmy też od pseudoklasycznej epoki. Brak aktualności, nowości. Pod tym żartem niema rzeczywistego, bliskiego nam prądu.

28. Wnosimy się do mieszkania, Gerhardstrasse, 10, II. Znajdujemy pokój dla Władzia na przeciwko №8. Wieczorem wpadam na chwilkę na Thurmstrasse. To już nie ta sama, co niegdyś swoboda. Kiedy przemówię do pny Nati, tropi się i patrzy dziwnemi oczyma.. Wiem, że nienawiść dla mnie zamieszka za tą parą źrenic jasnych. „Das ist das End vom Lied." Będzie mi chciała dowieść, że jej jestem zupełnie obojętny. – A jednak niema tu mojej winy, jest tylko mój los... ~~...~~ i nieszczęście. – „Ja kochać przyszłam a nie nienawidzieć" może za Antygoną powiedzieć szlachetna dziewczyna. –
Potem z Ludwikiem i Władziem do „Belle-

Alliance-Theater" na głupią lecz wesołą farsę: „Villa Fridelsruh". Ogromnie zachwyceni grą. Nie mogę znosić sztuk, gdzie się kochankowie pobierają i wszystko dobrze kończy.

29. Ukradam z Fritzem książki. – Panna Nati pojechała do Potsdamu do „Tante Louise". „Deptać świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?"

30. Chwilę na Thurmstrasse. Tante i pna Nati wyjechały. Zostaję z pną Martą i panią R. – Wieczorem na „Theodora" Sardou w Residenz-Theater. Charlotte Frohn w tytułowej roli. – Nie sztuka, ale szereg zręcznie powiązanych, b najróżnorodniejszych obrazów. Znać tu i owdzie nitki od manekinów, ale są i bardzo efektowne, głębsze sceny. Sardou gra na nerwach z nieporównaną maestrią i grupuje postacie i sceny ze zręcznością jakiego Makarta. Tylko zmysłową nutę popiera przerażającymi tony. Scena między Marcellusem a cesarzową, podczas której rozgrzewają żelazne obcęgi do tortur i gdzie się Marcellus o śmierć prosi, scena ta okropna trwa całe półgodziny. Krwi, sztyletów, trucizny pełno. Ale są sceny pełne siły, motywowane psychologicznie.

Najwięcej brak historycznej atmosfery. To Bizancyum bardzo do Paryża podobne, a ~~[illegible]~~ nie brak w niem nawet klakiera. Postać Franka Karyberta daje całej sztuce charakter okolicznościowy, który się zresztą w postaci Teodory, napisanej dla Sary Bernhardt czuć daje.—

31. Z Ludwikiem w „National-gallerie." Po obiedzie u Geigera, który mię przyjmuje do ćwiczeń. Rozmawiam z nim długo o Grimmie, Brandesie, Lafontainie i Krasickim.— Wieczorem do pp. Rhode z Ludwikiem.— To już nie ta dawna swoboda i prostota. „Tante" każe mi czytać wiersz Geibla: „Die beiden Engel", który przyjaźń nad miłość wynosi. Zakradam dziś w książce wiersz „Im Herbst."
Heinego mi dziś czytać nie dają i podsuwają ustęp o Fryderyce Brion w Grimm'a „Goethe."— Nie czytam. Wysyłają mię do muzeum z panną Heidenreich; o dalszym ciągu naszych odwiedzin i rozmów z panną Nati nie ma chwilowo mowy.— Panna Nati milcząca. Te same twarze i te same ściany — a jednak nie mogę się wśród nich poznać.— Około 11-ej wychodzimy.

1. Listopada. Niedziela. WW. Świętych.
Do kościoła. Do Muzeum z Ludwikiem, Władziem, Fritzem. – Wieczorem na chwilę do pp. R., gdzie zostały moje okulary. Le charme est rompu: znowu wszystko swobodne, proste, wesołe. Mamy nawet podobno iść do muzeum. – Z Tante o Fritzu.
Wieczorem u Władzia. „Zueignung, Vorspiel auf dem Theater, Prolog im Himmel"

2. XI. 85. Gellert's Fabeln. W zool. ogrodzie. U Schlenter'a. Zastaję go nad korektą ostatniego arkusza „Gottschedin". Krytykujemy Blumenthal'a i Teodorę. Książka Brandesa o Berlinie i ustęp o wrogach Szyllera. Po obiedzie ~~za~~ z Ludwikiem i Władziem na operetkę „Don Cesar" w Walhalla-Theater. Zupełny brak jednolitości i całości w tekście i muzyce. Ładne, nie nowe muzykalne numera; dużo scenicznych źle wyzyskanych efektów. Ein Flickwerk w całem znaczeniu wyrazu. Doskonała wystawa, główne role nie źle grane.

3. XI. 85. Tolo ma ciężką bronchitis. Siedzę dużo u niego. Rano zachodzę do pp. R. – Zostaję na drugiem śniadaniu. Rozprawiam z Tante jak niegdyś, swobodnie i wesoło, nakrywam stół z pną Nati, jak zawsze w lecie… Pozory te same – ale co się pod tą skorupą kryje.

Wieczorem idę jeszcze raz ~~do~~ Thurmstrasse po poezye Geibla, które mi pna Nati ma pożyczyć. Zostaję na kolacyi. Rozprawa z pną Martą o zadaniu niemieckiem, które ma pisać. – L. i W. na „Carmen." w Operze.

4. XI. 85. Pierwszy wykład Schwan'a o gramatyce franc. „O Gott, wie gross ist Dein Thiergarten!" – Bardzo dobry wstępna lekcya Brückner'a o gram. polskiej. Tolo lepiej. Chwilkę u pp. R. – Z Władziem na jednym akcie „Die kleine Baronin" / 7 Liliputaner / w Königstädtisches Theater. – Flondra! Dwa lata dziś jak do Berlina przybyłem.

5. XI. 85. – Pan Józef Łubieński umarł. – Tolo lepiej. Sprowadziłem sobie książkę Faguet'a: „Lafontaine", sądząc, że to nowa krytyczna praca. Idę ją odebrać: wybór bajek dla dzieci! – Wieczorem, kiedy L. i W.

Z królewskiej biblioteki wziąłem:

6. XI. Fables de La Motte

9. XI. Fables de La Fontaine Tom I i II.

9. XI. Biedermann: Goethe u. Dresden. 20. XI

6. XI Kulpe. Lafontaine.

13. XI Ritter. Gellert's Leben u. Wirken. 20. XI.

20. XI. Vinet. Lit. franç. au XVIII. siècle.

21. XI. K. Fischer: Goethe's Faust.

idą do „Belle-Alliance-Theater" na „Papageno" dla pięknych oczu pny Timmling, ja zaglądam do pp. R.... Znowu dziwnie swobodnie i miło. Fritz czyta mi ustępy ze swego niemieckiego zadania. Chcę mu, jako grzecznemu dziecku, darować Lafontaine'a. „Tante" mówi na to żartem: „Da geben Sie es ~~[illegible]~~ unserer (Nati."– Tak się dzieje.

6. XI 85. Wieczorem na „pięknej Helenie" Offenbacha. Przez pierwszy akt śmiejemy się nieustannie i nie możemy dosyć nadziwować. Co za „wieloramienna satyra" tryskająca dowcipem, życiem, rwąca siatki krępujące człowieka. Taka operetka musiała zaważyć na szali w historyi duchowego rozwoju.– Drugi akt mniej satyryczny. Tchnie i w nim ów uwalniający, śmiały duch. Poezya zmysłów.– Akt III nic już wyższego nie zawiera. Kankanik i basta.

8. XI. 85. Niedziela. Muzeum. Z wizytą do p. Janotty, do pny Janottówny, do pp. J. Rohde.– Moja muzykalna „marraine" ofiaruje mię wprowadzić na koncert Rubinsteina. Idę. Sam Chopin na programie. 7-mą préludjum. Cudne mazurki i polonezy.

Po Ludwika na Thurmstrasse.

7. XI. 85. Migrena. Wieczorem seminaryum Geigera. Jego wstępna mówka o estetycznej, filologicznej i histor. metodzie. Pierwsza dobra „für Maedchenschulen" (co za galanterya! – chciałbym wiedzieć, co jest przyczyną, że czytam Goethego lub Szekspira, jeżeli nie estetyczna wartość. Zarzucić estetyczne stanowisko znaczy stawiać Rozbickiego obok Mickiewicza). Drugiej Geiger osobliwie nie lubi. Tylko trzecia prowadzi do celu: hors de l'Eglise point de salut. – Opracowywać będziemy Werther'a. Moja specyalna praca o Gellercie. – Po męczących dwóch godzinach u Geigera rozkoszne chwile na Thurmstrasse

9. XI. 85. U Tola. Interesa dla niego. De la Motte'a bajki. „Monolog", „Fausta". Urodziny p. Ottona Rohde. Idę ~~j~~ mu powinszować. Wieczorem u niego. Pani Renate, Tante, pna Nati, Martha i Toni, pna Berta, pni Bénard, pna Kochen, p. Gladebeck, p. John ~~Bathke~~, p. Sellke (Fritz). – Bardzo miło. – Dziś 5 miesięcy jakeśmy jeździli do Potsdamu. – Gdy panie idą na

Thurmstrasse, odprowadzam je i podaję ramię pani Nati. Idziemy jak przed miesiącami, spokojnie i bez troski, jakbyśmy szli w jaką dobrą przyszłość, tak zgodnie, tak wolno, tak korzystając z chwili. W takich momentach łatwo się wierzy i marzy, a ona tak mi się chętnie opierała na ramieniu. Czułem jak życie jakieś większe, wyższe, życie za dwoje i dla dwojga napełnia mi serce i po mnie krąży. – L. i W. na „Dr. Klaus" w Belle-Alliance-Theater.

10. XI. W bibliotece królewskiej. Oczy mnie bolą. Wieczorem na „Wallenstein's Lager" i „Piccolomini" w Schauspielhaus. – Pierwsza sztuka wypada na tej scenie bardzo źle i nie przedstawia interesu. Druga, choć nie dobrze grana, robi na deskach wytworne wrażenie. Nie ~~[illegible]~~ pochodzi z genialnego umysłu, ale jest dobra i nosi na sobie ślady wprawnej, mądrej ręki. Jedna Nesper w roli Wallensteina i Schwarz w roli hrabiny Terzky odpowiadają skromnym wymaganiom. Na zakochaną parę (Ludwig i Clara Meyer) patrzeć się nie można. – Piszę do Asnyka, któremu ojciec umarł i do Dr. Ruhlanda, dyrektora Muzeum w Weimarze.

11. XI. 85. W bibliotece król. Materyał do pracy o Gellercie b. duży. – U pp. R. . Nie widzę ani Tante ani pny Nati: rozmawiam z niemi tylko przez drzwi.
W Schauspielhausie „Wallenstein's Tod." Grają fatalnie; publiczność klaszcze bez końca. Ale i w takiéj obsadzie okazuje się cała głębokość, piękność sztuki. Pełna, wyborna rzecz. Romantyczne struny ~~[illegible]~~ poruszone ~~[illegible]~~ melodyjną ręką; klasyczna poważna sztuka okazuje się w rozwiązaniu.

12. XI. 85. W bibliotece. Wykład habilitacyjny germanisty dr. Schroeder'a. – Lutek! List od Ruhlanda. Z Lutkiem do „Wallner-Theater" na b. ładną, poczciwą posę „Herr u. Frau Hippokrates" i nieudaną parodyę „Teodory" i „Messaliny": „Messadora." Obydwie sztuczki grane nieporównanie. Blencke jako pastor, pna Kramm jako pensyonarka. – Lutek wyjeżdża.

Nie daj mi dożyć tej chwili,
Gdy ona cudzą się stanie
Kiedy się w [illegible] obróci
Ufanie i kochanie
Kiedy na główkę jej przyjdą
Wianuszek ślubny położyć
Nie daj mi dożyć tej chwili
Nie daj mi dożyć.

~~Nie daj mi dożyć~~
Ale niech legnę ~~mój zabierz~~ ~~do siebie~~ wśród boju
Na ~~jakim~~ krwawym polu zagonie
~~Niech w przeddzień wiecznej~~
~~Wśród Łowicz~~ w jasny ~~nadziei~~ ~~zwycięstwa~~ radości i w niebie
~~Wa~~ ~~zajęty~~ sprawy świętej obronie…
Niech towarzysze mnie grzebią
~~Gdzieś~~ pod jakąś ~~zieloną~~ polną mogiłą
Gdzieby ~~aby~~ ~~o jasnej~~ ~~po~~ gdzieby się serca ~~[illegible]~~ opolnie
~~Różo jasno i święto~~ Mamy to się i s[illegible].
I kaś ~~niech~~ ~~zapowiedź~~ ~~swobody~~ wszystkim zapowiedź.
Na grob~~ach~~ ~~naszych~~ położy
albo jasnego zarania
Daj dożyć daj dożyć.